

Napisał: Krzysztof Kosowski

Ilustrował: Przemysław Woźniak

Odzyskuję poczucie istnienia. Moje sensorium przelana się na otaczający mnie Wszechświat. Postraca pamięć zapisana sześćdziesięcioma latami izolacji i tymi pierwszymi, nielicznymi, życia. Życie? Czym ono jest? Jak się je definiuje i czy w stanie obecnym jestem żywy, czy nie. Czy samą świadomość zapeklowaną w hermetyczną puszkę sanktuarium, ten szczególnie rodzaj zamknięcia będący analogią do klinicznych objawów *locked-in syndrome*, gdzie postrzeganie jest postrzeganiem pozazmysłowym, mogę uznać za formę zdawania sobie sprawy z własnego działania? Ale jestem przecież w totalnej niemocy, w niemożności jakiegokolwiek działania.

Zakładam, że żyję. Jeżeli jest to prawda, to dlaczego nie wiem jak... jak wyglądam? Mógłby ktoś poradzić, abym przejrzał się w lustrze. Ale jedynym dostępnym mi zwierciadłem są tysiące innych obdartych z ciał istnień.

Rozprostowuję moją zgarbioną przytomność przycupniętą w półśnie-półczuwaniu. Rozwieram mój umysł na zewnątrz, rozwijam biopole.

Otoczyły mnie natychmiast i zaczęły się ocierać i wciskać inne świadomości, mniej lub bardziej aktywne, jedne przyjazne, inne obojętne, jeszcze inne agresywne i wrogie, odpowiadające mi i te, których nie cierpię.

Wzmogłem czujność. W fazie rozbudzonej bytowania należy uważać, ponieważ na umysł niedo-

świadczony czyha wiele niebezpieczeństw. My mamy jednak doświadczenie. Nikt nowy od dawna nie przybył do naszej enklawy i dobrze, bo nie miałby żadnych szans. Mapę naszego świata opanovałem już dawno i wiem, czego od innych oczekiwać. Znamy się tu wszyscy bardzo dobrze. I to jest potworne.

Spenetrowałem pobliski obszar częstotliwości. Na szczęście, nie licząc szumów tła, był spokój. Nikt zbyt usilnie nie wciskał się w mój „fizjologiczny” zakres częstotliwości, w którym istnieję (pomijam podstawowy zapis w strukturze neuronowej mózgu, który tak mnie, jak i innym, już dawno przestał wystarczać). Rozszerzyłem nieco zakres częstotliwości mojej fali i usłyszałem delikatne wibracje pochodzące od świadomości Zuzanny. Była jeszcze w wyćwiczonej formie amnezji, a ja nie chciałem jej budzić, gdyż stan jej psyche jest zły. Nie wiem, co robić, gdyż jej gorzka i mnie się udziela, a jej rozpacz graniczy z szaleństwem.

Niepokoję się o nią.

Wzmogłem postrzeganie, rozszerzając zakres docierających do mnie sygnałów. Od razu też natrafiłem na obce istnienie, na Bazylego-bazyli-szka. Cofnąłem się, lecz zauważył mnie i pospieszył za mną. Począł szybko dostosowywać parametry swojego biopola do mojego i dopędził mnie, a następnie wkłuł się w rozpęd w moją atmosferę. Bezczelność. Hałaśliwe, zgrzytliwe myśli zaczęły



toczyć się najpierw wąskim ciekim, potem coraz szerszą rzeką, stając się dla mnie torturą. Zawęziłem spektrum odbioru, by się od niego uwolnić, lecz nie dawał za wygraną.

– Edgar, zaczekaj. Chciałbym z tobą pogadać. Edgar, mam nowe wieści o Samie i Sarze.

– Odczep się, pijawko. Nie mam ochoty ciebie słuchać.

Obrażony Bazyl cofnął macki swej świadomości. Zawsze był samotny, a kiedyś z rozpaczyny zrobił to, czego najbardziej nienawidził i przed czym tak usilnie się bronił. Gardzę nim.

Rozbudzony ucieczką przed Bazylim, wszedłem w spacer telepatyczny. Przesuwałem się między bytami, jak wiatr-żeglarz głaszczący drzemiące lasy stuletnich świerków. Muskałem je delikatnie nie niepokojąc ich, a one, poznając mnie, też nie ingerowały we mnie, życzliwie usuwały się na boki lub pozwalały przenikać się na wskroś. Zmierziałem w kierunku Szalonej Doroty, która była o tyle atrakcyjna, o ile udawało się jej wytworzyć nowe fantastyczne obrazy i doznania, które nie tylko ja lubiłem obserwować, podziwiać i brać w nich udział. Każdy nowy happening był doskonałą oczyszczającą zabawą, pomazany swoistą malarską skazą *neue wilde*, gdyż projekcję tworzył dziecięcinnie już dawno umysł Szalonej Doroty.

★

Wracałem szybko ze spaceru. Zuzanna na pewno już czeka.

Nagle odebrałem silne pulsowanie obcego... nie, dwóch obcych istnień. Rozpoznałem je, ostatnio permanentnie ze sobą wojują. Papież był za życia grubą rybą, a tu też uwielbia mieć coś do powiedzenia. Szatan – tak przynajmniej go nazywamy, był kiedyś Ministrem i ponoć nie mniej bezlitosnym niż obecnie. Obaj są judaszowymi powiernikami słabych, osaczają ich, a potem żonglują nimi, jak niewyżyty sprzedawca cebuli na jarmarku.

Ostrożnie przybliżałem się do płataniny emitowanych myśli. Przyciąłem się i słuchałem.

– Odstąp od Sama i Sary! – wrzeszczał Papież.
– Daj im żyć, siło plugawa!

Uchwyciłem emitowaną przez nich wizję: biją gromy niebiańskie. Na rdzawym wzgórzu emanuje jasnością krzyż. Promienieje mistycznym, świętym blaskiem cierpienia. Wicher targa oliwne drzewka. Karminowe chmury nacierają na mroczną dolinę. Nieckę, wyobrażone siedlisko Szatana, próbują rozjaśnić błyskawice. Gromy, jeden po drugim, rozdzierają purpurę nieba, nikną w mroku kotliny. Pod krzyżem stoją dwie blade istoty ludzkie. Do tej pory niezdecydowane, teraz ostatecznie przekonane drgnęły znajdując swą drogę.

– Popatrz, sami tego chcą – odparł zadowolony Szatan. – Znają swe położenie.

Postacie schodzą w dolinę. Pograżają się w ciemność. Czerń pulsuje z zadowoleniem. Gromy Papieża atakują. Chcą ją rozjaśnić. Wbijają się dziesiątkami plazmowych iglic, a mrok doliny rozbryzguje się piłropuszcami sadzy. Pioruny próbują odślonić to, co nieodślonione. Szatan ma zbyt

mocną i przekonującą psychikę. Patrząc na reakcję dwojga ludzi, widzę, że zwycięża. Sam i Sara, przekonani ostatecznie, odchodzą. Ale Papież nie ustępuje, jeszcze o nich walczy.

- Powiedziałeś im tylko swoją prawdę.

- Sami ją wybrali i oni w nią wierzą.

- Są słabi. Wykorzystujesz to i popychasz ich ku zagładzie.

Szatan, pewny zwycięstwa, pozwala szaleć Papieżowi, który grzmił dalej:

- Morderco! Za życia mordowałeś i manipulowałeś, a teraz w tym pudle robisz to samo.

Szaleństwo atakujących gromów przechodziło swoją kulminację. Papież miotał całymi ich armiami. W bezsilnym szale porażki cisnął jedną ze srebrzystych, pobrudzoną krwawym niebem, błyskawic na stojącą w gaju oliwnym kapliczkę. Kapliczka była zegarem postawionym tam przez Josepha-zegara. Rozpadła się na strzępy i znikła.

- Ty jesteś mną, ja jestem tobą. Obaj mamy te same pragnienia. Nawet tutaj, nawet w tej sytuacji. - przyznał Szatan. - Namawiasz ich, aby nie wyłączali hibernatorów, a wiesz... dobrze wiesz, że nikt i nic ich nie zwolni. Ich, ciebie, mnie również...

- Więc sam wyłącz - ironicznie poradził Papież.

- Nie ludź się. Ja jestem twardy. Zaczekam.

- Zamiast posyłać ich na zaturę, uczyni im łaskę i daj im nadzieję - zmieniając taktykę prosił Papież.

- To takie podniecające móc dać i nie dać, móc wyciągnąć do nich rękę i nie uczynić tego. Nie, nie pozbędę się tej przyjemności.

- Morderco... - Papież powtarzał się, wyraźnie osłabiony szukaniem nowych argumentów, a może tylko epitetów.

Wyobrażenie dwóch istot ludzkich - Sama i Sary zanurzyło się w czerni doliny. Błyskawice ustały, a cynobrowe chmury rozwiewał słabnący wiatr. Pozostało bezgwiazdne, nabrzmiałe upiornym fioletem niebo, rdzawe wzgórze ze szszarzałym, jakby glinianym krzyżem. Mroczna dolina odpływała zwycięskim pulsowaniem.

Pełne ekspresji widowisko kończyło się. Chcąc poszukać Sama i Sary i ja oddalałem się ze strefy kontaktu.

Szybko ich odnalazłem. Przybliżyłem się do nich, bliźniaczo podobnych, bo tylko wtedy jest możliwa asocjacja, psychik. Wniknąłem miękką macką w ich wyobrażony świat.

Stali nad brzegiem urwiska. I ja podszedłem do jego krawędzi i stanąłem obok zegara szafkowego, wysokiego jak katedra. Spojrzałem w dół, ale przepaść nie była jeszcze wypełniona treścią.

Sam w dobrze skrojonym garniturze stał obok zony. Sara w białej ślubnej sukni podała mu rękę w koronkowej rękawiczce.

- Jesteś gotów?

- Tak. Chodźmy.

Oderwali stopy od zieleni traw skarpy. Poszybowali w dół. W magicznej szarej odchłani pojawił się widmowy napis-polecenie.

JA, SARA I JA, SAM Z WŁASNEJ WOLI ROZKAZUJEMY CI, MASZYNO, ABYŚ ZATRZYMAŁA APARATURĘ PODTRZYMUJĄCĄ NAS W STANIE HIBERNACJI.

OTO NASZE PERSONALIA:

SARA KASKA URODZONA W 1989 ROKU. WIRGINIA. POWÓD HIBERNACJI: NIEULECZALNY RAK JAMY BRZUSZNEJ Z PRZERZUTAMI NA PŁUCA. DATA HIBERNACJI: 1997 ROK. CZAS HIBERNACJI: 103 LATA.

SAMUEL LUDWIG. URODZONY W 2011 ROKU. IGLEJ. POWÓD HIBERNACJI: SILNE USZKODZENIA GENETYCZNE. DATA HIBERNACJI: 2012 ROK. CZAS HIBERNACJI: 88 LAT.

Nagle owionął mnie irracjonalny chłód i otoczyła pustka. Sam i Sara odeszli, zwiżając za sobą warkocz swojego świata, ale próżnia mnie otaczająca okazała się niedoskonała. Był obok mnie zegar szafkowy wielki jak katedra, ale i on niknął, nie był już im potrzebny.

★

- Daleko odszedłeś, Edgarze.

- Daleko, Zuzo, najśladza moja falo.

Czułem opadające na mnie płatki jej bólu. Przeniknął mnie chłód. Lawiną cierpienia wlewało się w moją świadomość jej znużenie i krwawienie duszy torturowanej wieloletnim pobylem naszych umysłów w izolowanym świecie.

- Co się stało? Zamykasz część swej świadomości. Denerwujesz się. Czuję to. Otwórz się, Kochany.

Otworzyłem się. Uformowałem myśli w kwiecistą górską halę, pokrytą soczystą murawą i szmaragdowymi kępami ostów. Na zielonej wykładzinie pstrokaczna kwiatów górskich, leśnych, ogrodowych, wszystkich, jakie pamiętałem i jakie pamiętali inni, a które sobie od nich przywłaszczyłem. Błękitne niebo łączyło się z ziemią piersiastymi pagórkami, zarośniętymi bujnymi świerkowymi lasami.

W świat ten Zuzanna weszła, jako najsmuklejsza z możliwych łań, biegnąca po miękkim puszystym kobiercu. Przekształciła się w nimfę. Półnaga i bosą. Biegła z tak dla niej rzadkim śmiechem. Tańczyła, a jej stopy z lekka dotykały ziemi, strącając czasami perły rosy i kwiatów. Obiegła lipową rzeźbę górała z tarczą zegara zamiast twarzy.

Nagle potknęła się o wystający z murawy głaz, straciła równowagę i potoczyła się w dół. Uniosłem ją z ziemi, potłuczoną, z krwawiącą raną na stopie. Nimfa-Zuzanna płakała, a ja nie miałem już siły dalej utrzymać wizji łąki. Świat wyparował.

Wyczułem obok swego jej pulsujące biopole.

- Co schowałeś w tym głazie?

Porzuciłem zamiar ukrywania śmierci Sama i Sary.

Otworzyłem się.

★

- Oni umarli... ja też chcę. Nie wytrzymam dłużej.

- Opanuj się, Zuzo, i pocierp jeszcze troszeczkę. Oni nas stąd wyciągną. Zamrażając nas obiecali przecież.

- Jacy oni? Ich tam nie ma, a następne pokolenia? Co obchodzi następne pokolenia, że my tu umieramy z rozpacz? Jesteśmy dla nich martwym, niepotrzebnym bagażem. Nie mają zamiaru nas witalizować. Po co? A może nie nauczyli się leczyć naszych chorób.

- Nie nauczyli? To się nauczą!

- Nie... nie czekam. Jestem jak rak. Żywię się innymi istnieniami. Żyję w nich, drążę je jak robak, to jest obrzydliwe. Boże, jakimi my jesteśmy wampirami!

- Nie mów tak.

- Będę, będę... Wsamy świadomości najślabszych. Wchłaniamy ich doznania, a potem wbudujemy je do własnych psychik, tak, aby to, co przywłaszczono, stało się częścią nas. Konsekwencją jest zmiana, ciągła ewolucja naszych jestestw. O Boże, jak się one deformują. Staliśmy się czymś nieopisanym. Zobacz, ilu oszalało, a my, najtwardsi, wchodzimy w ich chore jaźnie, aby się bawić, wyzierać najskrytsze tajemnice, nie dość silnie chronione...

Jej biopole pulsowało w spazmach. Nieprzyjemnie drażniło moje, otulające ją i kojące lekkim kołysaniem. Zaniechałem kołysania, gdyż uczyniony przeze mnie kokon cierpiał teraz boleśnie, kalecząc coraz to nowe, czułe dla mnie miejsca.

Nie umiałem jej pocieszyć. Nie potrafiłem jej ratować.

★

Poszukiwanie pustelnika nie było łatwe. Jego mózg wytwarza pole o znacznie większej częstotliwości niż nasze. Skontaktowanie się z nim wymaga wiele wysiłku. Jednak w przypiływie determinacji podjąłem próbę, chociaż miałem wątpliwości, bo nikt z nas od dawna nie docierał do niego. Szukałem ratunku dla Zuzanny, dla nas obojga.

Przesuwałem się wąskim strumieniem amplitud w stronę wyższych części. Dawno minąłem wyspy zbiorowych i autonomicznych świadomości, potem Szaloną Dorotę i mknąłem coraz szybciej. Z rozpędu wpadłem w obszar zajmowany przez chorą psychikę Josepha-zegara. Zupełnie o nim zapomniałem, a teraz było za późno. Otoczył mnie i zaczął wciskać się we mnie, lecz broniłem się skutecznie. Przeszreliłem jego chronometryczną jaźń i pomknąłem dalej.

Joseph-zegar nie był kiedyś zegarem, tylko taką samą świadomością jak inni. Był silny i rozumny.

Aby nie popaść w depresję, powodowaną nową, hibernacyjną rzeczywistością, zaczął gromadzić wiedzę o zegarach. Udostępnialiśmy mu wszystko z naszych pamięci, co mogło mieć dla niego jakąkolwiek wartość, a że w swej pasji nie był natrętny, czyniliśmy to chętnie. Kiedy zebrał cały materiał, jaki miał w polu swoich możliwości, prosił mnie często o pomoc. A że ja mogłem penetrować znacznie niższe częstotliwości, bywało, że transmitowałem mu dane z psychik dla niego niedostępnych.

Potem - stało się...

Używamy go teraz do odmierzania czasu. Nawet jako zlepek bezmyślnej na pozór informacji stara się być pragmatyczny i potrzebny. Pomrukuje rytmicznie: jestem joseph... jestem joseph, co daje podstawową jednostkę równoważną dwóm sekundom. Pracuje więc w systemie psycho-sekundowym. Poza tym urozmaica nasze światy swoimi zegarami.

Pędziłem coraz dalej. Po obu stronach strumienia częstości, w amplitudach niższych i wyższych od zajmowanych przeze mnie, Joseph-zegar porostawiał budziki kilku generacji, zegaty z wszelkiego rodzaju dworców i przystani, monstrialnie powiększone cebule kieszonkowe. Rokokowe z alabastrowymi rodzajowymi obudowami i biedermeiry. Wodne, wahadłowe, sprężynowe, na baterie i energię Coriolisa. Słoneczne i na energię słoneczną. Wskazówkowe i cyfrowe. Proste, aż purytańskie w zdobnictwie i przeładowane rzeźbieniami i kapiące blaszkami cennego kruszcu. Lekkie i smukłe z mas plastycznych i toporne mosiężne odlewy.

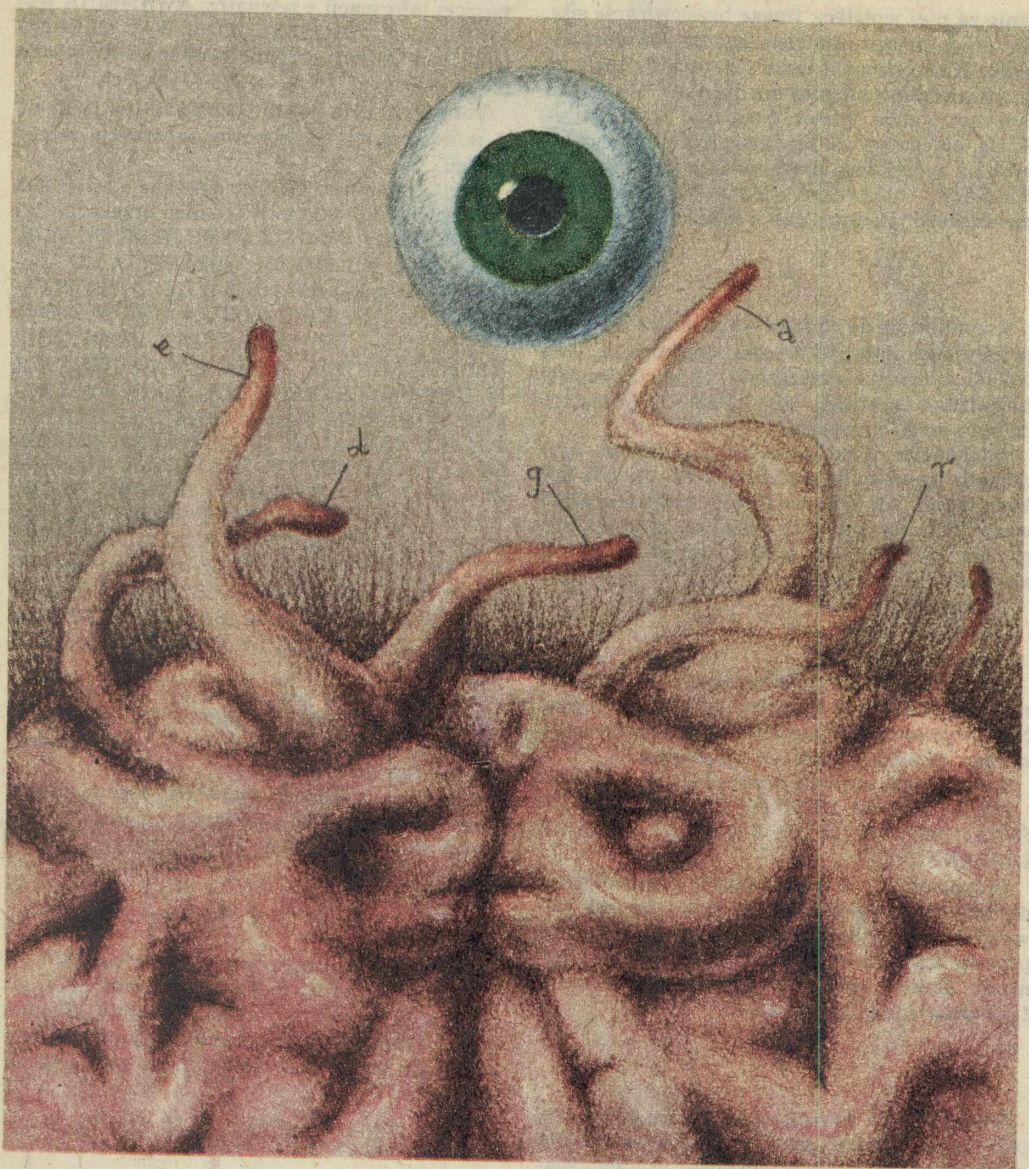
Ale wkrótce byłem poza jego zasięgiem i zegarowa aleja zniknęła.

Docierałem do granic moich możliwości, a wokół panowała niepokojąca mnie trochę pustka i brak wszelkiej wibracji energii. Przystanąłem, jak mi się zdawało, na nieprzekraczalnej dla mnie granicy. Wyczerpanie dawało o sobie znać. Transmisja mojej świadomości na tak wysoką częstotliwość kosztowała dużo wysiłku. Po drodze pogubiłem dużą część swej pamięci, a teraz odpoczywając i nabierając sił, kasowałem i zapisywałem na nowo te fragmenty mojego istnienia, które uległy poważniejszemu zniekształceniom. Teraz oddzielałem je od szumów tła i przekłamań powstałych podczas transmisji.

Wkrótce zebrałem tyle energii, że zdobyłem się na wysiłek. Zwiększyłem maksymalnie częstość emisji i wysłałem wezwanie:

KAAAARL
KAAAAARL
KAARLLL...

Poczułem wibracje - obce i słabe, ale byłem zadowolony, bo otaczająca mnie pustka nasyciała



się bioenergią. Z nieprzyjemnego łoskotu szumów informacyjnych udało mi się odczytać sygnał.

- Hej, Edgar, co cię sprowadza? - Mały zarosnięty człowieczek rozsiadł się na mgielnej zawieszynie i przyzwalająco wskazał miejsce, abym i ja spoczął.

Nie zmaterializowałem się obok niego. Nie miałem na to energii. Pozostałem jedynie emisją uformowanej myśli.

- Zuzanna chce odejść.

- Niech odejdzie.

- Kocham ją i nie mogę na to pozwolić.

- Kochasz monstrum, również sam się nim stajesz.

- Wiem, ale... co robić?

- Tylko w samotności możesz przetrwać, pozostać sobą. Tak jak ja. Ratuj siebie. Ona jest stracona.

- Być przyczajonym robakiem gdzieś w trzewiach molocha, który w każdej chwili może przestać istnieć? Czy warto?

- Warto. Widzę przyszłość. Powodzenia.

Uniósł się z niewidzialnego siedziska i poszybował poza sferę mojej absorpcji, a ja długo, histery-

cznie za nim wołałem, tracąc bezsensownie siły. Ale prócz energii utraciłem jeszcze coś ważniejszego. Karl pozbawił mnie ostatecznie iluzji, że ktoś z więźniów enklawy ma dla mnie receptę lub może mi pomóc. Pomóc Zuzannie. Złoty środek Karla, polegający na niemieszaniu się w losy innych i przeczekaniu, był może dobry dla mnie, ale dla Zuzy... Przeczekać – co on do diabła chce przeczekać i jak długo ma to trwać?

★

Przytuliła się do mnie swoją świadomością, a ja ją kołysałem kojąc jej ból spowodowany gasnącą wolą przetrwania i przerażeniem podjętą decyzją. Łagodziłem jej strach, jak łagodzi się lęk małego dziecka przed ciemnością.

Odchodziła. Wiedziałem, że musi odejść, gdyż czeka ją tu już tylko szaleństwo. Nie chciała być kimś takim, jak Szalona Dorota nicowana przez wszystkich na wszelkie możliwe sposoby, nie chciała być również wchłonięta przez którąś z hien naszej społeczności.

– Odchodzę.

– Nie oponowałem.

– Odprowadzę cię.

Odchodziła zieloną górską łąką. Weszła na wiezchołek wzgórza, a ja stałem poniżej i włożyłem całe swoje serce i umiejętności w stworzenie krajobrazu, ostatniego, którego doświadczała.

Na fiolkowej zastanie nieba pojawił się napis.

JA, ZUZANNA STOKES, BĘDĄC W PEŁNI ŚWIADOMA, WYŁĄCZAM MOJĄ APARATURĘ HIBERNACYJNĄ...

Przypomniało mi się, jak płacąc górę pieniędzy otrzymałem zapewnienie, że tylko ja „od wewnątrz” mogę wyłączyć aparaturę podtrzymującą procesy życiowe mojego zapuszkowanego organizmu. Było to coś jak polisa ubezpieczeniowa. I jak zbawienna dla tyłu z nas.

★

Z odrętwienia wyrwał mnie wszechogarniający puls tłumu. Weiskały się we mnie uczucia wielkiego napięcia, niesamowitej ekstazy, niepoahamowanej nadziei.

Powoli rozwijałem swoje pole, delikatnie penetrując kolejne osobowości. Próbowałem pojąć, w czym rzecz, skąd ta szaleńcza radość? Dowiedziałem się, że Geoffrey zaginął.

– Jessy, jak to było? – Pospiesznie sformułowałem pytanie.

– Masz – odparła pełna euforii, nie przerywając płomiennej wymiany myśli z innymi.

Sformułowanie „masz” oznaczało, żebym wniknął w jej jestestwo i abym znalazł sobie odpowiedź. Zrobiłem to: drzemający Geoffrey – sygnał bioprądowy zewnętrznego sterowania – gwałtowne przebudzenie Geffreya – odbiór napły-

wającej informacji z zewnątrz: AWARYJNA WITALIZACJA, PROSZĘ STOSOWAĆ SIĘ DO INSTR... – tu Geoffrey zwinął pole i po Geffreyu nic nie zostało.

Pomyślałem, że pewnie bez zwłoki wcisnął się z powrotem w neutronową substancję swego mózgu.

Jakiś czas potem Geoffrey dał znać o sobie. Jak on to zrobił, nie wiem. Oto co nam przekazał: TO JA, GEFFREY. JESTEM ŻYJĘ. JESZCZE ŻYJĘ. WIERZCIE, ZROBIŁEM WSZYSTKO, CO MOGŁEM. A MOGŁEM NIEWIELE. OPRZYRZĄDOWANIE HIBERNATORIUM ZNISZCZONE. APARATURA WITALIZACYJNA PRAKTYCZNIE NIE ISTNIEJE. WYJŚCIE NA ZEWNĄTRZ BUDYNKU ZASYPANE. NIE MOGĘ WAM POMÓC. NIE MOGĘ POMÓC SOBIE. NIE POTRAFIĘ NIC NAPRAWIĆ. SĄ TU TYLKO ZGLISZCZA I WASZE NIETKNIĘTE PUDŁA. NIE MAM CO JEŚĆ. NIE POTRAFIĘ ZDOBYĆ WODY. A POZA TYM TO SERCE, Z POWODU KTÓREGO BYŁEM Z WAMI. ZNALAZŁEM PRZEKAŹNIK, PRZEZ KTÓRY DO WAS MÓWIĘ I NAWET NIE WIEM, CZY MNIE SŁYSZYCIE. CHCIAŁBYM POWIEDZIEĆ, ŻE BARDZO WAS KOCHAM I ZAZDROSZCZĘ WAM. TRZYMAJCIE SIĘ...

Szał zrozpaczonych istnień był tak wielki, że zwinąłem swoje pole do minimum. Zacięcie broniłem się przed cudzymi myślami. Chciałem przynieść to sam. Trwałem tak długo.

Gdy się ocknąłem z wywołanej nieświadomości comy, byłem sam. No, niezupełnie. Tykał Joseph-zegar. Wchłoniąłem go. Teraz naprawdę jestem sam.

★

Trwam. Istnieję. Oczekiwanie? Nadzieja? Cel? Po co pytać – wystarczy, że trwam. Pytania zabijają.

Zegary biją godziny, odliczają minuty. Wycho-dzę z letargu wtedy, gdy odmierzą... upływ kolejnej... setki lat. A może tysiąclecia, a może jeszcze więcej.

★

Natłok cudzych świadomości. Odczuwam morze nie moich myśli. Krzycze: Zuza? Sam? Geffrey? Natłok doznań jest nie do zniesienia. Czuję, że znów tracę świadomość na eony lat. I nie wiem, czy się bronić przed utratą świadomości, czy przed nie moimi myślami. Czy się bronić... czy się bronić...

– Nie bój się, otwórz oczy.

Szukam w myśli pojęcia „otwórz oczy”. Oczywiście wiedziałem, że jestem bliski rozwiązania, wystarczy mocniej się skoncentrować, intensywniej po-grzebać w pamięci.

Jestem przecież Edgarem... jestem edgar... jestem edgar...